

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 80 GR.

# KAMENA

miesięcznik literacki

ROK II

№

10

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

CZERWIEC 1955 R.

## S P I S R Z E C Z Y:

JAWORSKI Kazim. And.	Epitaphium . . . . .	str. 173
CZECHOWICZ Józef	Z Mont Saint Michel . . . . .	„ 174
DAUKSZTA Olga	Kondotjerzy . . . . .	„ 175
MIKUŁKO Anatol	Upał . . . . .	„ 175
NAPIERSKI Stefan	* * . . . . .	„ 175
CZUCHNOWSKI Marjan	Śmierć i powódź (fragm.) . . . . .	„ 176
MADEJ Antoni	Z poematu „Zwykła droga“ . . . . .	„ 177
MATUSZEWSKI Ryszard	Wycieczka do Eger . . . . .	„ 178
BIELECKI Adam	Kwiecień . . . . .	„ 178
JANCZARSKI Czesław	Maj . . . . .	„ 178
BAKOWSKI Stanisław	Dobranoc . . . . .	„ 179
GWOŹDZIEWSKI Wiktor	Echo . . . . .	„ 179
HERTZ Paweł	Ruiny roku . . . . .	„ 179
SŁOBODNIK Włodzim.	* * . . . . .	„ 180
SARNECKI Tadeusz	Jestem . . . . .	„ 180
ŚPIEWAK Jan	Strofy . . . . .	„ 180
KUŁAKOWSKI Sergjusz	Władysław Chodasiewicz . . . . .	„ 181
CHODASIEWICZ Wład.	Z „Ciężkiej liry“ . . . . .	„ 184
NAPIERSKI Stefan	Wspomnienie o Klabundzie . . . . .	„ 186
	Przekłady z poezji niemieckiej . . . . .	„ 189
SCHULZ Bruno	Wiosna . . . . .	„ 191
MAJ Ludwik	Z ciasnego podwórka . . . . .	„ 193
KŁOSOWSKI Józef Nik.	Z książek najnowszych . . . . .	„ 196
	N O T Y . . . . .	„ 193
	OD REDAKCJI I WYDAWNICTWA . . . . .	„ 199

Wkładki linorytowe ZENONA WAŚNIEWSKIEGO: Komendant w okopach

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.

Reformacka 15 B.

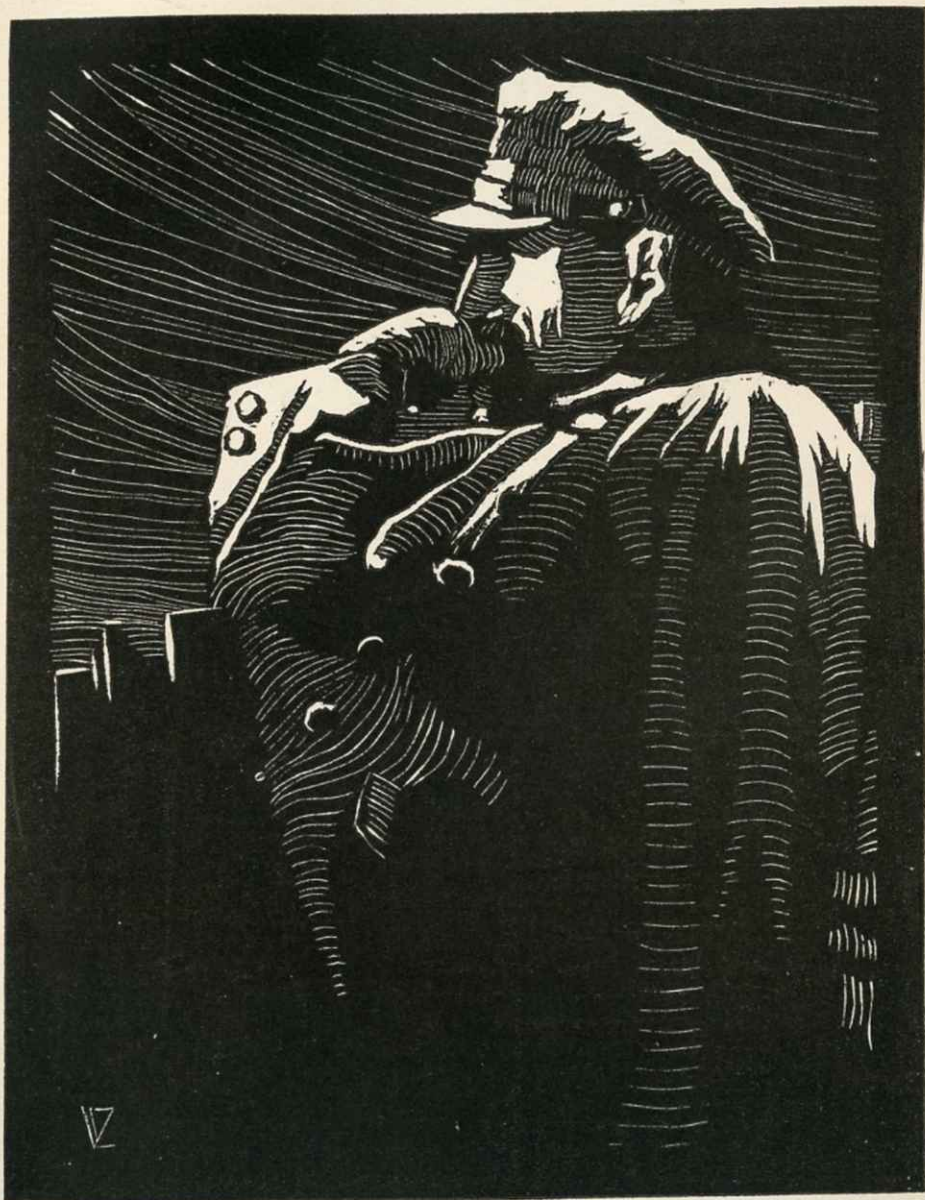
Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezcki.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów)

2 zł. 25 gr.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 80 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



# k a m e n a

## miesięcznik literacki

rok II

czerwiec 1935 r.

nr. 10 (20)

### EPITAFIUM

SŁOWA — BLASZKI WYTARTE,  
CHOĆBY NAWET NAJPROSTSZE, NAJSZCZERSZE,  
KTÓRE NAJSERDECZNIEJ PŁACZA,  
NIC NIE SĄ WARTO,  
NIC NIE ZNACZA,  
GDY ŻYCIE JEGO BYŁO NAJPIĘKNIEJSZYM

WIERSZEM.

WIĘC MILCZEĆ. A SERCE OPORNE  
TYLKO BIJE UPARCIE I BIJE  
— NUTĄ WIARY CZY WERBLEM ROZPACZY? —  
UMARŁ? NIEPRAWDA! PRZECIEŻ POLSKA ŻYJE.  
DO PRACY!

K. A. Jaworski

## Z MONT SAINT MICHEL

Miała sklepik z pamiątkami. Kupowano w niej te drobiazgi banalne i wzruszające zarazem. Na porcelanowych pieśkach, złożonych kubeczkach, na dzwoneczkach z mosiądzu oczy kupujących odpoznawały napis: pamiątka z Mont Saint Michel.

Deszcz mżył, wicher dął, czy pogoda błyskała słońcem w porcelanie, mosiądzu i pozłotce, cudzoziemcy obliczali drobne sumy pieniędzy i wsuwali je w pomarszczoną dłoń staruszki.

Tak było. A dokoła pluskały fale morskie, ilekroć przyplływ rzucał masę wód na piach zatoki.

Ona jednak, mieszkając w osiedlu na skalnym półwyspie, rzadko widywała morze. Sklep był w wąskiej, pnącej się pod górę uliczce, zaś okna izdebki, którą zajmowała wraz z synem, zasłaniało rosochate a gęste drzewo akacjowe.

Uliczką cudzoziemscy turyści dążyli do zamku i opactwa. Przystawali, czytali napis na pieśkach i dzwoneczkach. Kupowali te pamiątki. Odliczali pieniądze.

O jednej porze roku było gwarniej, o innej — mniej.

Drzewo za oknem izdebki żyło podobnie. Wiosną pachniało jak kadzielnica słodyczy samej, jesienią gubiło liście, w zimie czarne, mokre, bezlistne szamotoła się z wichrami.

Syn staruszki, trzydziestoletni, szarooki, żył jak drzewo, jak świat. Jednakowo. Wychodził od pracy wcześniej, wracał zmęczony, padał ciężko na łóżko, spał. Tak mijały dni powszednie.

W niedziele brał matkę pod rękę i, odświętnie ubrani, szli do kościoła świętego Auberta, by wysłuchać mszy. Nie wiedzieli, że łacina starego księdza ma włoski akcent. Modlili się w gromadzie sąsiadów, potem rozmawiali z nimi czas jakiś na cmentarzyku. Po południu matka otwierała sklep, a on w mrocznej izdebce grał na skrzypcach. Nieudolna to była muzyka. Niby wesola, niby skoczna. Grał tak do zmierzchu.

Gdy już przyplływ grzmiał o mury i bastjony, wychodził, a matka z troską patrzyła odchodzącemu w szare oczy.

Błądził po murach i rampartach, zaglądając z ich wysokości w oświetlone okna mieszkań. Widział posiłki wieczorne, kłótnie i gniewy, śmiechy, pocałunki. Wracając do domu, myślał, że wraca do matki, skrzypiec, izdebki, w której się urodził. Chodził tam tani, a głośny zegar, pachniała morzem sieć na tyby.

Ale jej—jej wysmukłej, złotowłosej, która porzuciła go, która z bogatym, cudzoziemskim kochankiem wyjechała do dalekiego Paryża — jej nie było.

Nazajutrz, w dzień powszedni, brakło czasu na żal. O świcie wychodził do pracy. Matka również wcześniej otwierała swój sklepik z pamiątkami, bo turyści przybywali o różnych porach dnia. A przecież trzeba było sprzedawać porcelanowe piski, złoczone kubeczki, mosiężne dzwonki.

JÓZEF CZECHOWICZ

## KONDOTJERZY

Galeona przybiła tak cicho, bez hałasu,  
do naszego dziś miasta. Każda wie to kobieta,  
iż nie wiozła jedwabiu, a mówiła Halźbieta,  
że nie było i w szkatkach aksamitu, atłasu.

Tylko kaprów gromada prowadziła koniądza:  
miał kiereję z skór rysich i na głowie hełm-rog,  
kirys prosty rzemienny, buksy, skórznie, ostrogi,  
z galeony szli woje, brzęcząc złotem pieniądza.

I klepali kuninga po ramieniu soldnerzy,  
pijąc w miejskiej gospodzie, wodza ucząc nad ranem,  
jak handlować sumieniem. Byli to kondotjerzy  
włosecy, polscy, niemieccy. Twarz kuninga pocięta  
była w szmach jak święta i na piersi miał ranę...  
O tem wszystkim mówiła, gorzko płacząc Halźbieta.

OLGA DAUKSZTA

## U P A Ł

Maj kwiatami dzień na szmaty kolorowe porwał  
— o zmierzchu je wiatr miękko tulił w bukiet,  
tłuszczem słońca zaskwierczał trotuar  
i z płatków wonny obiad upiekl.

Na rogu kosz kobiety schylonej  
na Boga kupujecie winogrona.

Drzewa dymem zieleni wyszły z zaułków,  
w bruku kamienie pękały jak groch.

Na rzekach wiosnę sprzedają —  
w kajakach zmienioną na chłód.  
Płyniemy błękit oczu rwać  
— daleko od brzegu —  
szczęście w kłamrze dwóch par ud.

ANATOL MIKUŁKO

\* \* \*

Popatrz: otwarte okno. Tam obłoki wiszą,  
Naświetlone od spodu jak świecą przestrzeni,  
Nad jezioro, nalane po brzeg mroczną ciszą,  
Nie stąpaj szukać kształtów umarłej zieleni.

Błogość trwa bezbolesna na powietrzu bladym,  
Jak czółno, które w wodzie rozlewa się smugą;  
Krzewy mokre, noc wonna czarnym winogradem,  
Liście, niby w młodości, zaszemrzą niedługo.

Przelewać tobie. W samotność otulony szczelniej,  
Patrz w rozbłysk, co opada jak jasna kotwica,  
Aż otwór warg dygotem okrągło wypełni  
Jęk łagodny, zabójczy—pluśnięciem księżycyca.

STEFAN NAPIERSKI

## Z poematu: „ŚMIERĆ I POWÓDŹ“.

Ciemną aleją jodeł idących tłumem od wrót kościoła  
 ruszył w poranku kondukt żałobny wgórę Gabonia.  
 Na barkach chłopów płynęły cicho trumny trzech gospodarzy  
 świecące mglisto czarnym lakierem dokoła.  
 W ponurych pieniach na zimnych błoniach  
 legli ciężko na wieczny spoczynek w glinianym łożu ementarza.  
 Jechali w wieś wracając z ementarnej grabiny fury,  
 zanim obeschły łyż z szarych twarży.  
 Skręciły cicho w duże, widne, kmiece osiedla.  
 Wieś stała w słońcu. Tylko smutek ponury  
 spadł na obejścia hukiem łopaty grabarzy  
 w synowskie serca, żonine usta i łyży kobiece.  
 Z zimnych łoż rosy szybko obsychały trawy.  
 W otokach wsi dzwonią jasno kosy.  
 Łąki padają srebrnym szmerem wokół.  
 W szeleście stali, w błysku, w bystrej woni otawy  
 pomyka stara Kozuska, wiejska akuszerka, siwa od lat, jak od rosy.  
 Spiesz w osiedla. Zległo sześć tak znowu jak zeszłego roku.  
 Gdy nagórże jęczą kosy, to nadole huczą głosy.  
 Krzysztoniową miedzą gęsty tłum silnie się uwija.  
 Aż wreszcie wieść pada na sioła, jak grom.  
 Zabito Józefa Sędka w sąsiedzkiej zwadzie o wspólne pokosy.  
 Kona na trawach. Drga krwią straszliwie otwarta chłopiska, niska szyja,  
 gdy niosą go z płacem synowie na płachcie do domu.  
 Od wschodu trysła nad lasem drobna łuna.  
 Filuże, niby lampa. Gaśnie. Podnosi się wyżej.  
 Gore w biały dzień.... Huk głosów pęka nad czarnym Gnidowem,  
 oświeconym nagle pożarem, jak blaskiem pioruna.  
 Nadole szary tłum koło osiedla Wierciocha kłębi się wciąż chyżej,  
 wynosząc lichy statki na zagonki płowe.  
 Za stromym lasem ogień wysoko się wzмага,  
 a szarzy ludzie wynoszą wciąż z chałupy Wierciocha połamane graty.  
 Egzekutor w asyście żandarmów tylko na chwilę wyrzał do pożaru.  
 I nadal silnym głosem zaległej zapłaty od budarza ostro się domaga.  
 Szare cienie wciąż wynoszą twardo ludzką biedę z chaty,  
 wstrząśniętej licytacją, bólem, zimnym młotem kary.  
 Ludzie zdyszani od ognia przybiegli,  
 gdy stary Wiercioch został w pustej chacie sam, jak w trumnie.  
 Egzekutor już kończył urząd u Kozucha, Rzepy, Wasiela i Bruzdy,  
 zabierając na fury ostatek dobytku z biednych i gołych osiedli.  
 Dudnił wóz głucho po drożynach do wsi, prowadzony tłumnie,  
 obłany krzykiem kobiet i łzami, aż po końskie uzdy.  
 Jeszcze nie ujechał wóz-trumna, wlokąc ludzką biedę  
 poza rude opłotki Macieja Wasiela,  
 nakryty wyschłymi rękami babin, załamaniem w bezsilnej rozpaczy;  
 minął go z hukiem w fur jadący siedem,  
 tłusto uznożony młodziutką zielenią korowód kmiecego wesela.  
 Pstry od dziewcząt, wstążek, kwiku muzyki, jak skrwawionej kłaczki.

— — — — —  
 — — — — —

Gasnącym alarmem wionęły do sąsiednich wiosek straże pożarne.  
 Żar słońca huczał strasznym, błyszczącym obszarem.  
 Zaduch pokosów parł we wszystkie strony.  
 Na ciepłej zgorzeli Buczka i Szczary sterczą jak pięści kominy czarne,  
 objęte drugim słońca silnym, czerwonym pożarem.  
 Południe. Biły głucho dzwony....

MARJAN CZUCHNOWSKI

## P O W R Ó T

(Fragment z poematu: „ZWYKŁA DROGA”)

W pociągach, które maszyny ciągnęły w zaświaty,  
 (przyszli polegli bowiem w nich jechali)  
 w pociągach żołnierskich etapami do ojczyzny wracałem:  
 Satorlaja — Ujhely, Uzok, Karpaty.

Postój na stacji granicznej. W gruzach dworzec leży.  
 W odymionych murach splekanych ścian rozpina wieczór skrzydła nietoperze.  
 Na zboczach wzgórz porytych  
 zasieki łapią pierwsze gwiazdy w siecie swoich drutów,  
 i księżyc, widmo blade, półrogiem wpięty w ramię przygiętego krzyża  
 umarłych szuka.

Tu bliżej  
 drzewa, odarte z kory, martwo grożą niebu kikutami.

Nieodwalonem głazu brzemieniem  
 na serce zwała mi się ziemia rodzinna,  
 krwią zmyta,  
 łzami  
 i cierpieniem.

Wiłem się przy oknie, jak na szpilce motyl,  
 zdumiony i przestraszony.  
 Rany ziemi szarpały mi pierś, jak pług skibę roli.  
 Napływały myśli zranione:  
 dwaj bracia, zabrani w niewolę,  
 szli gdzieś sybirskim szlakiem,  
 jeden tłukł się tu jeszcze po galicyjskich błotach  
 w Legjonach.

W twarz dał wiatr biegnący wzdłuż pociągu.  
 Wlokłem się, godziny dłużyły się, jak pasmo szerniałych Karpat.  
 Wrzesień po wzgórzach żółcił się zgniłą trawą,  
 wilgocią osnuł widnokrag i mgłami  
 i zbiegał skistami dolinami  
 wlewo i wprawo.

Było źle, byłem sam,  
 sam jeden, jadący w nieznanne.

Wśród wrzawy żołnierskiej i szczyku i smrodu  
 dążyłem w błądy świat dalekiego wschodu:  
 wypalzał z krzaków i wzgórz nowy dzień gorzki i oropiały.

Jechałem.

Stukot kół napływał na myśli koszarne widzenia:  
 wyciągał z dołów czaszki i szkielety,  
 wysysał z ziemi krew czarną, cuchnącą  
 i rzucał w oczy przerażone cienie,  
 i ciskał w twarz szyderstwa palące,  
 i motał głowę duszną, stęchlą watą.

I tak mi we wspomnieniach zostały Karpaty,  
 został ten rok 1915,  
 i przedsmak nowego miasta,  
 i ziemi rodzinnej rozryta pierś do głębi,  
 i tysiące po wzgórzach krzyży,  
 i szerniałe drzewa, jak opalone na ogniu gołębie,  
 i zburzone domy, i trawa zgniła wzgórz i nizin,  
 i oropiały, bolesny dzień,  
 i błądy, daleki świat, prowadzący na wschód,  
 i poranku chłód,  
 który serce owinał drucianą siatką gorączki i udręki,  
 a myśli rozpętał, jak rozżarzone, metalowe pręty.

Pociągiem, który maszyna ciągnęła w zaświaty,  
 (przyszli polegli bowiem nim jechali)  
 minąłem Karpaty.

ANTONI MADEJ



## WYCIECZKA DO EGER

Słowa i ciemne śliwki garściami-ś rwał w ogrodzie  
 zachłanny był poczęstunek śliwek i słów:  
 o czymś to mówił —  
 Słońce — pamiętam — płasko na wodzie  
 słońce, nie wypowiesz —  
 — nie wypowiesz przyjaźni.

Nad barokowe głównie kościołów  
 żar się jak olej wypiętrzył:  
 byłeś kelnerem, podobnym do aniołów  
 i woda była jak magnes.  
 Płomień dnia zastygł  
 w kredowym kurzu ulic,  
 i w twoich oczach dziwnie bliższy miasto,  
 i dziwny jest, niezrozumiały  
 adres.

Dwakroć słoneczna miejscino,  
 chcę ci jeszcze z okien pociągu  
 ciskać naręcza zdań,  
 a tłum  
 faluje jak bukiet,  
 kiedy odjeżdżam.

RYSZARD MATUSZEWSKI

## K W I E C I E Ń

Teraz się zwiążą ulewy rude nici  
 w sieć na szybach, dzwoniącą i mokrą.  
 Bezwład jak deszcz podetnie kamienice.  
 Zbledną oplute niebem okna.

Na gumach aut się zwiną z sykiem sznury błotne.  
 Powietrze zakołuje i opadnie niżej:  
 na druty tramwajowe, jak ptactwo przelotne,  
 stadem znużonych kropel się naniże.

Rozbiegnie się w ulicach ciał zmokły przednówek.  
 Zmierchliwy sztandar spódnic zatrzepie się, wydłuży.  
 Żółty dym spłynie po ślizgawicy dachówek  
 na miasto wietrzne, wczesne, odbite w kałuży.

ADAM BIELECKI

## M A J

Pagórka zbocze  
 maj oblał kleksem fiołków.  
 Sękata otyłość lip,  
 czerwona okrągłość sosen  
 oczom.

W szmer liści zielonym zachwytem  
 miękko płynie słoneczne: ach!  
 Trzmiel — baryton  
 nie intruz  
 przysiadł kolorowym aksamitem.

W cień lip skryć łopot myśli,  
 zawilcem się przyczałc,  
 niegłośno,  
 naiwnie  
 oddychać majem.

CZESŁAW JANCZARSKI

## D O B R A N O C

Śpij. Na brzeg morza udreń,  
które przepływasz codzień,  
padnij zmożona i ciężka jak głaz.  
Twardo obudzi Cię szum,  
fala porwie brutalnie  
za parę znów godzin;  
niewiele czasu masz.

Śpij. Trzeba ciągle w sobie  
odrabiać sił zanik,  
by kiedyś z wycięsko spocząć nakoniec.  
Jeszcze długo, długo będziesz orać piersiami  
huczące mroczne tonie  
i ginąc w ich pianiach, —  
zanim opadną i wyschną,  
a z dna cierpliwego strzeli  
ruń cicha, kwiatami usiana...

Śpij; już niedaleko do rana.

STANISŁAW BĄKOWSKI

## E C H O

Myśl o Tobie wybiegła  
jak zapatwienie w obłok!..  
Codzień wśród ścian  
żydowskich domów  
łykam mały wycinek nieba.  
W litosny sufit piszę  
wiersze — nikomu!..

Wiatr suwa w błękit  
pieśni — skrzydła ogromne,  
wielbiące Zachód!  
W eposie, kwitnącym  
sitowiem wonnych włosów,  
zapomnę ..

I tylko ptaki wieczorne  
w krzyk zachodni lecą..  
Już na zawsze, na zawsze!..  
Rozbity w atom, w gwiazdy —  
ogrody klasztorne,  
ku Tobie spływam: płaczem!..

WIKTOR GWOŹDZIEWSKI

## R U I N Y R O K U

Ruiny roku! Ach, przegniłe szczątki  
opadłych liści i przekwitłych kwiatów.  
Patrz w drzwi otwarte! Odchodzące Lato  
zabiera wonie—najdroższe pamiątki.  
A wtędy z czernią nocną przemieszana  
ciemność twych włosów opada, mój cieniu,  
i warg twych bladeść falista jak piana,  
z których wyłania się antyczna Venus.

Ruiny roku! Dni nadchodzą blade.  
Żuki drzemiące na trawach spłowiałych,  
czerwone grona pośród winogrodu.  
W pałacu błyszczy rzeźb strzaskane ciało,  
w kaskadach fletów odchodzisz szpalerem,  
kochanka czekasz o ruchach jak tancerz;  
chiód ciemnych ruin przebija mój pancerz,  
dosięga serca. Dlatego umieram.

PAWEŁ HERTZ

Bratu mojemu śmierć odebrała  
 Dni wiosenne — trawy płomienne,  
 Bratu mojemu śmierć odebrała  
 Dni letnie — niebieskie fletnie.  
 Mnie odebrała spokój,  
 Jasność przy boku,  
 Mnie odebrała spokój,  
 Pewność ziemskiego kroku.  
 Spokój — czyste powietrze,  
 Spokój — światłość na wietrze,  
 Spokój — kolejność pór roku.  
 Bratu mojemu śmierć odebrała  
 Dni jesienne — ogrody ciemne,  
 Bratu mojemu śmierć odebrała  
 Dni zimowe — anioły śniegowe.  
 Mnie odebrała ciszę,  
 Białe spokojne klawisze,  
 Mnie odebrała ciszę,  
 Księżycą przejrzyste klisze.  
 Ciszę — drzewa uśpione,  
 Ciszę — serca zielone,  
 Ogrody, dąbrowy mnisze.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## J E S T E M...

Jestem oto jak kłoda bezlistnego drzewa,  
 co w upojeniu wichrów smutkiem cichym grzęźnie  
 i że krzykiem nie mogę duszy swej wyśpiewać,  
 w rozpaczy łamię ręce, dwie suche gałęzie.

Oniemiały z boleści szarpie się w powiewie  
 i pień ciała swojego gnę w szalonym wicherze,  
 A szum mego igliwia jest bolesnym śpiewem,  
 zamkniętego uczucia w słów bogatym śpichrze.

Aż gdy czasem wiatr zegnie w trzaskający pałąk  
 przyrośnięty do ziemi mój kadłub bezlistny,  
 cięciwa zgięcia zda się krzyżeć: o, jak mało!  
 dbasz o mnie losie ślepy, losie nienawistny....!

TADEUSZ SARNECKI

## S T R O F Y

Wtedy, gdy step był stepem, niebo paliło się tłusto  
 Dniepr ku brzegom się czołgał, jak usta ślepe ku ustom,  
 A ziemia wołania roślin wchłaniała przestrzenia,  
 Wtedy było najsmutniej oczy otwierać zdziwieniem.

Ostry profil łodzi woda oślizgła rozpluska,  
 Naprzeciw zdyszanych wysp — zieleni i pustka.

Drobne krople piasku garściami wbij w ciało,  
 Niech skóra bronzem się syci, jak oczy dałą.

Na maszcie drzewa sztandar liściasty — słońce i błękit,  
 Zbliżaj młodość, nachylaj, śpiewaj słowami i dziękuj,  
 Dziękuj, że jesteś, że rośniesz, życia własnego przechodzień.  
 Krokami odmierzone lata wieją milczeniem i chłodem.

JAN ŚPIEWAK

## WŁADYSŁAW CHODASIEWICZ

Trzydzieści lat temu dziewiętnastoletni Władysław Chodasiewicz umieścił w moskiewskim almanachu wydawnictwa „Gryf“ swoje wiersze. Od tej pory stale współpracował w czasopismach jako poeta i krytyk. W r. 1908 wydał zbiorek liryk—„Młodość“, a w r. 1914 drugi zbiór poezyj -- „Szczęśliwy Domek“. Polak z pochodzenia (ojciec poety pochodził z Witebszczyzny), Chodasiewicz urodził się w Moskwie i kulturą duchową jest głęboko związany z Rosją, niemniej jednak pozostawał w duchowej łączności z literaturą polską, wydał bowiem w okresie między 1910 a 1917 r. tłumaczenia na język rosyjski „Irydiona“ Krasińskiego, „Chłopów“ Reymonta, opowiadania Tetmajera (trzy tomy), „Polskie legendy ludowe o Matce Boskiej“ M. Gawalewicza i in. — razem 12 tomów przekładów (Pozatem Chodasiewicz tłumaczył poetów ormiańskich, fińskich i współczesnych hebrajskich).

Surowy i wnikliwy krytyk, zajmujący obecnie od wielu lat jedno z czołowych miejsc w literackiej krytyce rosyjskiej na emigracji, Chodasiewicz jest usposobiony bardzo krytycznie do swej twórczości. Przed kilku laty w liście do mnie określił swoje pierwsze zbiory liryk jako ćwiczenia, „które były potrzebne, gdy te wiersze pisywałem, a które obecnie są mi również niepotrzebne“.

Istotnie w twórczości Chodasiewicza czasy przed r. 1914 były okresem przygotowawczym.

Bardzo niewielu ze współczesnych poetów obierało drogę wieloletniej pracy nad sobą, jak to uczynił Chodasiewicz, którego istotna wartość wyszła najaw dopiero w latach 1918 — 20. Te lata uznania ze strony wszystkich w życiu Chodasiewicza poprzedzała wnikliwa praca nad twórczością Puszkina i innych poetów rosyjskich w. XIX. Epoka symbolizmu w Rosji wywołała wśród poetów i literatów (nie mówiąc o uczonych specjalistach) szerokie zainteresowanie Puszkinem i jego epoką, jak również twórczością poetów rosyjskich w. XIX wogóle, przyczem w zakres tych badań wchodziło wielu zapomnianych poetów. Zainteresowanie to zahaczyło również o twórczość poetycką rosyjską w. XVIII. Po wojnie światowej zakres tego rodzaju badań rozszerzył się znacznie.

Chodasiewicz ogłosił drukiem szereg swych prac o Puszkinie i innych poetach w. XIX („Artykuły o poezji rosyjskiej“— 1922 r. zawierają ich małą część) oraz „biographie romancée“ o największem poecie rosyjskiem w. XVIII Derżawinie (1931). Obecnie Chodasiewicz pracuje nad życiorysem Puszkina.

Świetnie obeznany z formą wiersza rosyjskiego w epoce klasycznej Chodasiewicz jako poeta bynajmniej nie został upokorzony przez to piękno, przez mistrzostwo, przez tradycję. Wówczas, gdy niektórzy ze współczesnych mu poetów rosyjskich, jak Jerzy Werchowski, poprostu naśladowali poezję doby Puszkina, Chodasiewicz wykrył w sobie pokrewieństwo duchowe z twórczością dawnych poetów.

Niedojrzałość i dekadentyzm poezji w zbiorze „Młodość“ znikają bez śladu w książce „Szczęśliwy Domek“. Głos poety nabiera cech męskości, przenikliwości. Samotny poeta pozostaje na uboczu wszystkich ówczesnych kierunków, opowiadając z prostotą o tem, co chroni głęboko w swojej duszy. Brak efektownych obrazów poetyckich, pięknych rymów, dobranych kojarzeń melodyjnych. Światło i cienie—oto czem posługuje się autor, aby wywołać przeżycia w głębi świadomości. Te przeżycia i rozmyślenia są istotną mądrością, jakgdyby w podświadomości wytwarza się z biegiem czasu pewnego rodzaju segregacja życia duchowego. Dopiero w r. 1920 poeci, krytycy, czytelnicy zaczynają głośno mówić o mało znanym poecie. Poprzez głośne występy Majakowskiego, barwną wybujałość imażynistów wielbiciele poezji dostrzegli głębokość myśli Chodasiewicza, ocenili prostotę jego wysławiania się. Gdy ogół uwielbiał Majakowskiego i Jesienina, w r. 1920 ukazał się zbiorek (trzeci) poezji Chodasiewicza p. t. „Szlakiem ziarna“. W ciemnościach czarnej ziemi ziarno umiera, aby ożyć; dusza poety idzie tym szlakiem ku życiu, jak również jego kraj i naród, bo wszystko, co żyje, zostało obdarzone jedyną mądrością: iść szlakiem ziarna. Droga ta jest ciężka jak przeznaczenie poety. Głęboki sens tej twórczości poety brzmi w lirykach jego czwartego zbioru, nawet w tytule: „Ciężka lira“ (1923).

Autor wykrywa świat podświadomości, do którego przechodzi drogą myśli; w tych głębinach wszystko jest tajemnicze, ukryte. Czytelnik, wsłuchujący się w powolne słowa i rytmy Chodasiewicza, kroczy z nim razem „szlakiem ziarna“. Wśród krytyk o trzeciej książce liryk najtrafniejszą był artykuł Andrzeja Bielyja: „Rembrandtowska prawda w poezji naszych czasów“ („Notatki Marzycieli“ № 5, Petersburg 1922). Bielyj entuzjastycznie powiada, że prawda jest duchem poezji, że poeta głębi myślowej, Chodasiewicz — jest spokrewniony ze współczesnym Puszkiniowi Eugenjuszem Boratynskim, którego naprzemian zastępowali inni poeci w ciągu w. XIX, i że Chodasiewicz jest poetą z Bożej łaski, jedynym w swoim rodzaju.

Dziwna rzecz: gdy inni poeci w okresie rewolucji żyli w tłumie i z tłumem, światło i cień pozostawały jedynym środkiem

malarskim tego samotnika, który nawet nie miał aspiracji do filozofji albo snobistycznego arystokratyzmu ducha. Współczesność w nieznanym stopniu odbiła się na twórczości Chodasiewicza („Ciężka lira“). Być może na emigracji (od r. 1921 we wszystkich krajach Europy, a od r. 1925 — stale w Paryżu) dotknęła ta współczesność Chodasiewicza głębiej, niż przedtem. Możemy o tem sądzić z ostatniego rozdziału jego „Zbioru wierszy“ (1927) p. t. „Noc europejska“. Dostrzegamy tu również większą, niż poprzednio, ilość wierszy nierymowanych, których technika jest bardzo trudna i to tem bardziej z powodu braku jakiegokolwiek bądź barwności obrazów poetyckich (podstawowa cecha Chodasiewicza).

Pierwsze lata rewolucji Chodasiewicz spędził w Rosji. Wydarzenia owej epoki spotęgowały jego istotę duchową; z tego kataklizmu dziejowego Chodasiewicz wyszedł cało. — W lutym r. 1921 odbyło się w petersburskim „Domu Literatów“ uroczyste posiedzenie w dniu śmierci Puszkina. Chodasiewicz wygłosił na tem posiedzeniu znamiennej mowę o istocie twórczości poety, przyczem mówca podkreślił znaczenie w twórczości poetyckiej elementów logicznego (sens) i dźwiękowego (forma), których równowaga powinna być zawsze zachowana. Ta cecha, górująca w poezji Puszkina, wyklucza możliwość niesumiennego komentowania jego utworów tem bardziej za naszych czasów, gdy z łatwością można wkroczyć na mylne tory. Epoka przedwojenna, jak słusznie powiedział Chodasiewicz, raz na zawsze została zakończona. Powrót wstecz jest rzeczą niemożliwą historycznie i psychologicznie. Rozłam historyczny już nastąpił. Jeżeli zaś zmierzch kultury rosyjskiej, panujący obecnie, rozjaśni się, jeżeli znikną czasy przejściowego upadku tej kultury, Puszkina nigdy nie będzie bliski i rozumiany w przyszłości w tej mierze, w jakiej jest obecnie dla ludzi starszych pokoleń. Te słowa mogą być dostosowane również do pojęcia harmonji poetyckiej wogóle. Gdy w ostatnich latach zdaje się, że wszystkie możliwości w rozwoju wiersza rosyjskiego się już wyczerpane, prostota w poezji (podobnie, jak w lirykach Chodasiewicza) może się wydawać jedyną możliwością dalszej ewolucji twórczej.

SERGIUSZ KUŁAKOWSKI

---

*Jednajcie prenumerato-ów. Rozpowszechniajcie „Kamena“. Popierając pismo, umożliwiacie jego dalszy rozwój.*

---

## BIELSKIE UJŚCIE

\* \*  
\*

Przez okno pól rozległa przestrzeń:  
na rzeką łąka, dalej las.  
Na widnokregu ciemne deszcze  
przechodzą, szumiąc, raz po raz.

Dawniej myślałem, chwilo mała,  
Że oddam życie za rozkosze,  
Lecz nie wie głupi włóczypała,  
Jak cenne jego biedne grosze.

Tutaj pod stropem jasnej tęczy  
na dachu cerkwi błyszczy krzyż  
i co niedziela gwar zaręczyn  
radośnie ulatuje wzwych.

I oto inne dni nastaly:  
Pod wargą moją legły zmarszczki,  
Minuty moje podróżaly,  
Dziś jestem skąpszy, bo już starszy.

Tutaj bociany, zmije, błota,  
stromie urwisko pełnie wzdłuż,  
powszednia sielskich dni prostota,  
troska o wzrost zielonych zbóż.

I wiele widzę i rozumiem.  
Na głowie mojej biel siwizny  
I obrót gwiazd uchwycić umiem,  
I słyszę rozrost trawy żyzny;

Zroszonych polan leśne trawy  
depcze po drodze ciężki but —  
i w płaszczu niosę tuman mgławcy  
jesiennych, petersburskich wód.

I szept, którego nie słyszycie,  
I jakiś promień światła cichy  
Wciąż wzbogacają moje życie  
I doświadczenie błędnej Psychy.

I ku rumianych dziewcząt licom  
zniżając poetycki lot,  
tehnę na nie smutkiem i gruźlicą,—  
zatrutą wonią newskich błot.

Teraz nie skrzywdzę się, bo widzę  
Mą starość— zbieram więc cierpliwie  
To, czego tkliwie nienawidzę  
I to, co kocham tak zjadliwie.

Przełożył Włodzimierz Słobodnik

\* \*  
\*

I wciąż mi szepeczą myśli żwawe,  
że już od niepamiętnych lat  
rządzi się takim samym prawem  
i ludzki, i anielski świat.

Przeskocz i przekrocz, pełen mocy,  
Przeleć, prze... Zresztą, mówię tobie,  
Wyrwij się już, jak kamień z procy,  
Jak gwiazda, która spada w noc...  
Zgubiłeś sam i nie wiesz gdzie...

A ten, którego skroń uświetnił  
Bożej wszechwiedzy mocny wiew,  
to był — poprostu pierwszy letnik  
wśród pierwotnych ziemi drzew.

Bóg wie, co gadasz, mruyczysz sobie,  
Szukając klucza lub pince-nez.

Z dalekich Wyżyn niosąc krok swój  
w dolinę cichych, rajszych róż,  
oddech rozkładu i uroku  
na chwiejnych skrzydłach z sobą niósł.

Przełożył

Przełożył Józef Łobodowski

Włodzimierz Słobodnik

## M A R Z E C

Rozmiękło, i rozmokło, i chlupocze.  
Możesz przegłądać się w chodnika szklach.  
Wilgoć ciężarem piersi twoje tłoczy,  
spoglądasz w niebo—w niebie deszcz i mgła.

Czyż to nie dziwne? W rozdeptanem, śliskiem  
dziś odnajdujesz swą duchową twarz,  
a tam, na niebie, bliskiem, nazbyt bliskiem,  
to, co na ziemi zwykle, — wszystko masz.

spolszczył K. A. Jaworski

## WIECZÓR

\* \*  
\*

Pod nogami chrupie lód,  
zadął wiatr, naprószył śnieg.  
Boże, ileż smutnych złud!  
Jakiż w sereu bólu ścieg!

Ach, przyjaciele, może prędko  
i już na jawie, a nie w śnie  
utnę nież zwykłej pogawędki,  
co w pustkę coraz większą brnie.

Ciężki Twój niebieski glob,  
bezlitosna Twoja żerdź.  
Pocóż dal ta, słońca snop,  
gdy na świecie rządzi śmierć.

I już posłuszny tylko dźwiękom  
duszy, co wzniosła śpiew na świat,  
podniosę w górę nagle rękę  
i zacznie w niej trzepotać kwiat.

Czemu — któż wypowie, któż? —  
jeszcze i na schyłku lat  
chce się włóczyć wszzer i wzdłuż,  
wierzyć, kosztować, śpiewać świat.

I wtenczas ujrzę dal tajemną,  
świat ukwiecony, kwietną ścież.  
Gdybyście mogli i wy ze mną  
na tamtą stronę wkroczyć też.

spolszczył K. A. Jaworski

spolszczył K. A. Jaworski

Zgubił sennik się snów starych,  
czy sprawdziły się, czy nie.  
Nocą siądz, podpatruj mary  
błędnych światła w sonej mgle.

Nic nie szkodzi, że dziś idą  
dni niepewne, mglisty czas:  
zgadnij tamten stały widok,  
który z okien wabił nas.

Wspomnij wszystko to, co wczoraj  
słało nam radości wbród:  
Newski płynie w dal wieczoru,  
niebo kładzie się na gród.

Patrzy szary i niezmienny  
sklep świątyni w gwiezdnej wyż.  
Na nim tkwi sześcioramienny  
niewidoczny dla nas krzyż.

spolszczył K. A. Jaworski

Prawie nie warto żyć i śpiewać:  
wszystko nietrwale — wieści zgon.  
Krawiec przyszywa, drwał rżnie drzewo:  
szwy popękają, runie dom.

I tylko czasem w tym rozkładzie  
nagle przez mgłę zroszonych rżęś  
doszukam ładu się w bezładzie,  
innego bytu dojrzę sens.

Tak wśród życiowych nudów męki  
kobietę zbawi nagły ruch,  
kiedy wzruszona kładzie rękę  
z radością na puchnący brzuch.

spolszczył K. A. Jaworski



## WSPOMNIENIE 'O KLABUNDZIE

Czy mam przypomnieć, czem była dziesięć lat temu proza tego poety, zmarłego przed czterema laty w Davos, tworzącego do ostatniej chwili, jak Brzozowski, między jednym krwotokiem a drugim, skazanego na śmierć powolną i nieuchronną, febrycznego jasnowidza? Nie nadto chyba śmiało będzie twierdzenie, że wielki rzut „Moreau“, drukowanego niegdyś w „Skamandrze“, a który ukazał się po polsku wespół z innymi powieściami, historycznymi jakoby, staraniem „Roju“, nie pozostał bez wpływu na pisarstwo młodego pokolenia powojennego w Polsce, że ślady zachwytu, jeśli nie zależności, wyśledzićby można zwłaszcza u Iwaszkiewicza, u Rytarda i bodajże u Wołoszynowskiego. Lecz w Polsce zapomina się szybciej jeszcze, niż gdzieindziej.

Powiedziałem nieściśle „historyczne powieści“, lecz są to raczej poematy, nierówne bardzo, z wyjątkiem „Moreau“, ale zawsze unoszone przez élan liryczny, który Horzycy w swoim czasie (nie jestem chyba niedyskretny) kazał wspomnieć o „skrach genialności“. Klabund bowiem — to „tylko poeta“.

Liryk ten, zmarły przed trzydziestym piątym rokiem życia, a od najwcześniejszej młodości noszący w piersi zaród zabójczej choroby, pozostawił zgórą czterdzieści tomów, w których zawarte są pojedyncze arcydzieła. Pisał gorączkowo, nienasyconie, cała twórczość jego to wyścig ze śmiercią. Mnóstwo nowel i powieści, w których usiłował, zgodnie ze swym temperamentem, stworzyć nową, dynamiczną, nie gardzącą efektami kinowemi epikę, wiele tomów liryk, w których obnażał swe wiecznie młode serce, dramaty, z których niektóre zdobyły sceny niemieckie, a także zagraniczne, — gdzie główne role kreowała żona poety, świetna artystka, Carola Neher, — encyklopedje podręczne literatury niemieckiej i światowej i last not least wspaniałe przekłady poetów wschodnich: Litaiego, Laotsego, Hafiza. Czy w wszechstronnej tej twórczości zaskoczy polskiego czytelnika wieść, iż tłumaczył także kilka wierszy Mickiewicza i bynajmniej nie był jakowymś „polakożercą“, za jakiego przedstawić go pragnęła część brukowej prasy warszawskiej, przeciwnie, szczylił się, iż, podobnie jak w żyłach Nietzschego, i w jego żyłach płynie krew słowiańska?

Szczupły ten młodzieniec, niknący na miesiące całe, by leżeć bez ruchu w sanatorjach wysokogórskich, wdychać ozon, który nie zdołał zagoić pokaleczonych jego płuc, niekiedy nieoczekiwany pojawiał się w dolinie, spotykano go krótko w jakiej kawiarni lub na premierach jego sztuk, a potem znikał znów, przykuty do leżaka i biurka. Myślę, że jest to jedna z biografji poety „samej w sobie“, że jest w niej tyle z roz-

rzutności, ile z uniesienia i rozpacz, że, jeśli twórczość jego nawet, uczuciowa nawskroś, pozbawiona jest może wielkości, życie jego było większe — i że to właśnie decyduje. Nie na próżno najbliższy przyjaciel zmarłego, pierwszy dzisiaj w Niemczech poeta, Gottfried Benn, wznosił Klabundowi w wspomnieniu pośmiertnym, czystem jak kryształ i ostrem, jak cierpienie, w prozie klasycznie przezroczej i umiarkowanej, pomnik istotnie „nad spiz trwalszy“.

Oto, jak — z przejrzystą prostotą, po męsku, z opanowaniem wzruszeniem, które jest hołdem — mówił Benn, pochylony nad trumną przyjaciela, w rodzinnym jego mieście Krossen, na pograniczu Śląska i Marchji brandenburskiej, w dorzeczu Odry, tam, „gdzie czas uchodzi w wieczność“ (Klabund):

„Najpiękniejszymi latami były chyba te, gdy wkrótce po wojnie mieszkał w Berlinie na niewielkiej uliczce, w pokoiku, który miał jedno okno, gdzie nie było łóżka; sypiał na sofie i, kiedy się go odwiedzało przed południem, leżał na tej sofie, nakryty rękopisami, dziennikami, listami, pismami i pracował bez wytchnienia i gorączkowo, jak zwykł był czynić zawsze. Były to lata jego wierszy, powieści i rodzenia się „Koła kredytowego“. Były to także lata choroby, i często chodziłem do niego, jako lekarz. Zwałem go żartobliwie Jens-Peter na wzór Jacobsena, wielkiego duńskiego romansopisarza, do którego podobny był zewnątrz i który cierpiał i zmarł na tę samą chorobę. Często widywałem u niego fiołki, ulubione kwiatki Chopina. Kiedyś przeczytaliśmy razem słowa Chopina, napisane w przeddzień śmierci: „Próby moje wykończone są na miarę tego, co udało mi się z wysiłkiem uzyskać“—słowa pożegnania prawdziwego artysty, który przeżył fragmentaryczność wszystkiego, co osobiste, słowa ukojenia i powściągliwości, które mógł być wyznać Klabund, on, którego najgłębszym rysem charakteru była braterska pokora.

Wątpiła, nigdy nie wyrosła do całkowitej dojrzałości postać naszego przyjaciela staje przed oczami, jak przytomna. Delikatny mężczyzna, dźwigający na barkach brzemie, trudne do podźwignięcia. Nie mam na myśli choroby, myślę o powołaniu. Naprzeciw świata użyteczności i oportunistów, naprzeciw świata stabilizowanych egzystencji, urzędów i dostojenstw, stanął tylko z wiarą swoją i sercem. Istnieje godło pewnego starego rodu francuskiego, rodu Beaumonoire, które w istocie jest godłem każdego artysty: „Bis ton sang, Beaumonoire!“ — pij swoją krew; znaczy to: artysto, cierpisz, pomóż sam sobie, sam sobie jesteś wyzwoleniem; jesteś spragniony, musisz pić własną krew, pij tę krew, Beaumonoire! A on, nasz druh, pił krew własną

o każdej godzinie istnienia, jak nakazywało mu wewnętrzne prawo życia jego i umierania.

On, którego popiół spoczywa w tej urnie, napiętnowany był dwuznaczną nieokreślonością wybranych. Nic z zapewnionej pozycji, nic, co potrafiłoby jej dowieść. Realność, ta, którą stworzyła ludzkość, mieniąca się cywilizowaną, nie warta dlań jednego spojrzenia, jednego uśmiechu. Zawsze potykać się z nią, przemieniać ja ciągle w orszak masek, w rzutowanie form, w grę rozgorączkowania, niedorzecznie i na krańcu wszelkiej myśli, wszelkiego uczucia. Jakgdyby dusza poety powracała do swego dziedzictwa ponad siły, do owych dalekich snów, do napojów swej pradawnej krwi: rzeczywistość i dzieje, rozwój i przyczynowość — wszystko dla niej tylko masą, czekającą kształtu, wszystko tonem tylko, który, igrając, poszukuje bóstw.

W swobodzie tego dążenia nie mogło go nic zwieść. Jeśli co wyrzec trzeba nad tą urną spokojnego popiołu, to zdanie z wspaniałej powieści Josepha Conrada, o którym często ostatnio rozmawiałem z umarłym. Słowo, które zawiera w sobie, w zduszonym szepcie, błędzące bezdroża ludzkiego serca i rodzaju ludzkiego: „kroczyć bez przerwy za snem i wciąż za nim kroczyć i tak wiekuiście — usque ad finem“. W poszepcie tych słów spoczywa Klabund na zawsze.

Klabund w swej „małej autobiografji“, która wyprzedza wybór jego utworów wierszem i prozą, wydany niedawno u Reklama, pisze o sobie: „...Pochodzę skądciś z Marchji. Jestem prusakiem. A farby moje, które znacie, to biel i czerń. Czerń to noc, a biel to dzień. Jestem dniem i nocą... Droga moja jeszcze jest daleka. Kto pragnie towarzyszyć mi godzinę, niechaj powitany będzie serdecznie... Byłem ongi zajęcem, byłem sokołem, który zajęcowi wydierał oczy. Tak to mordowałem sam siebie. Byłem dobry. Byłem zły. Byłem piękny i ohydny, czarujący i okropny, tchórzliwy i odważny, władający i niewolniczy. Kocham ludzi. Ale kocham ich tyle tylko, ile zwierzęta i gwiazdy, z którymi tak samo potrafię rozmawiać, jak z tobą, ludzki mój bracie...—Co znacie ze mnie, to tylko część tego, co składam. Często wicher rozwiewał mi kartki, na których pisałem... Na nowo wciąż gorącą klingą muszę do końca wywalczać dzwięczną walkę w sobie. Walkę białej i czerwonej róży. Kiedyś, kiedy spłynę krwią, niechaj rzucą na mnie te róże... A jeszcze w śmierci błogosławić będę nowemu życiu“.

Proteusz, który kochał ludzi i przeczuwał, że wszelka miłość jest bez wzajemności... Cudzoziemski poeta, tłumacz jego z przed lat, do słów tych nie ośmiela się dodać swoich własnych. —

\* \* \*

Jak nazwać to, co pośród liści śpiewa  
 cicho, jak dryjad senny chór?  
 Czyś w wiatr wplątany, co mi włos rozwiewa,  
 w potoku srebrny sznur?  
 Zamieszkaj ze mną w kwitnącym ogrodzie,  
 kamień ożywisz i kwiat?  
 Czyż kochankowi wciąż na myśl przychodzi  
 kochanka drogi ślad?

Tak—wien: ty mieszkasz w kniejach, w wiatrach, w sędzie,  
 ty uspakajasz wodną toń,  
 to wszystko bowiem ze mną trwa, gdy kładziesz  
 na piersi mej swą dłoń.

AUGUST PLATEN  
 tłumaczył Paweł Hertz

Blask i sława! Świat zbudził się już  
 jak poganie modlim się do wzgórz  
 silny młody patrzy duch bez trwóg  
 ponad łąki na zawilść dróg  
 Tam na drodze płynie cień blask jak stal  
 szum potrąca o mękę i żal  
 płacz w modlitwie pochylił się zgaś —  
 tyś ma gwiazda mój święty mój blask —  
 Wtedy powstał dumny sen i zmógł  
 śmiało boga choć korzył się bóg  
 głos nieznany nas w przestrzeń gdzieś pchnął  
 i przed śmiercią aż do ziemi giął  
 Płonął świat płomień palił się gaś  
 aż na niebie złączył wreszcie nas  
 chociaż ogień migotał i drżał  
 blask i sława sen rozpacz i żal  
 (Tyt: Ben i śmierć.)

STEFAN GEORGE  
 tłumaczył Paweł Hertz

### Z A P A T R Z E N I E

Tedy spoczywam na wzgórzu liściastem  
 I czuję życie moje, jako słońce,  
 które przesuwa się zwolna, jak cień ów,  
 ledwo spłoszony. Tu się nic nie stanie.  
 O, jak bezmiernie mnie to uspokaja!  
 Góry, jak śpiące psy, a przecie czujne,  
 rzeka wieczysta, most i kryty ganek:  
 temu-m oddany bez dna. I jest tak mi,  
 jakbym na skrócie dojrzał drogi smukłej,  
 jak z dali kroczy drobny Tobjusz wespół  
 z Aniołem, niknąc w pięknym krajobrazie.

MAX MEIL  
 przełożył Stefan Napierski

### Ż OLBRZYMEM, JAKO TOWARZYSZEM

Gdy wieczorne słońce wpada w szkarłatny głóg i zmierzcha dzień,  
 Gdy brzoza nadstawia pod ostatnie światło swój biały pień,  
 A wszyscy ludzie mają za towarzysza wielki cień, olbrzyma,  
 Tęsknota próbuje swej łopaty w ciszy  
 i wolno grzebać zaczyna.  
 Wszystkie późne sasanki się zamykają,  
 A tęsknoty z wszystkich pól i lasów  
 Ciemniejsze niż dębu żółć przyplývają.

MAKSYMILJAN DAUTHENDEY  
 przełożył Leopold Lewin

## Z P O E Z J I N I E M I E C K I E J

## WSZYSTKO CO SIĘ DZIEJE

Wszystko, co się dzieje,  
 To szczęścia i bólu koleje,  
 Na harfie pocieszenia Bóg gra sobie złotej,  
 Fala się wiecznie kołysze.  
 Ach, jakże rychło skłonił w śmierci ciszę  
 Swą głowę. I śmieje się potem.

KLABUND (ALFRED HENSCHKE)

z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

## PRZED ŻNIWAMI

Kłosa mi złota już chwieje  
 Wiatr—płochy los,  
 Gdy jeden się chyli z trwogi,  
 Drży drugi kłos.  
 Tak jakby przecucia miały,  
 Że bliski sierp —  
 Kwiatów i zbóż złocisty łan  
 Zadrzał i ściępl.

MARTIN GREIF

z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

## Ż N I W A

Niebo się żarzy w bezmiernej spiekocie  
 Wysoko-nad ziemią rozkochaną w złocie.  
 Błysnęły w słońcu wyostrzone kosy,  
 Wdarły się z chrzęstem i tną jak zie osy.  
 Nisko się chlapi schylają zmęczeni:  
 Chlebie, o jakżeś cenny jest w jesieni!

ALFONS PETZOLD

z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

## D Z I E C I Ń S T W O

Krzewy bzuwe w jagodach; ciche dzieciństwo mieszkało  
 W grotcie niebieskiej. Ponad ścieżką minioną,  
 Gdzie oto brunatnie szemrzą trawy zdzieciałe,  
 Gałęzie dumają spokojnie; i kruchych liści poszum.  
 Jednak, gdy woda modra o skały uderza.  
 Łagodna skarga jest wilgi. Pasterz  
 Bez słowa stąpa ku słońcu, co z wzgórz jesiennych się stacza.  
 Jeny chwilą ulotną jesteś, dziwna duszo.  
 Z lasu wyrzuta łania płocha, sennie  
 Pradawne dzwony u dna spoczywają  
 I tafle jezior mrocznych.  
 Ciemnych lat mijanie pojąłeś pokorniej,  
 Chłody i jesień w osamotnionych pokojach,  
 I przez dale niebiańskie przeźrocze dzwonią stąpania.  
 Szyba rozchylona ledwo zabrzączy; do szlochu  
 Wzrusza widok mogiłki zapadłej na wzgórzcu,  
 Wspomnienie baśni gwarzonych; niekiedy rozwidnia się dusza,  
 Ludzi wspominając radosnych, wiosny zielono-złote.

GEORG TRAKL

przełożył Stefan Napierski

## W I O S N A

Przy końcu zimy nadchodził szereg trzeźwych, powszednich, niczem nie znaczonej dni, dni pustych w smaku jak wielkie kołaczki, wypiekane we czwartek na cały tydzień i leżące szeregiem na półce w zimne, białe, bezsłoneczne popołudnie.

Dni te wyrastały z swych dwunastu godzin jak wyrostki z przyciasnego ubrania i marzły — codzień dłuższe, w ciągnące się powoli popołudnie przedwiosenne, w jasne zmierzchy, które nie chciały się kończyć. Wtedy nagle z framugi tygodni wynurzały się Święta Wielkanocne i nagle w pustce dni zaczynał się czas formować w głębi swej barwą i sensem i na scenę wysuwał się cały ten wielki teatr Paschy, całe to wielopiętrowe misterjum prastarej egipskiej wiosny: to wspaniałe i niezgłębione uctowanie przy długich, białych stołach, w świetle srebrnych świeczników, migocących pod tchnieniem zbyt wielkiej i pustej nocy paschalnej. Te noce paschalne stały jak ciemne kulisy za otwartymi drzwiami domu i rosły od niepojętych i ogromnych spraw, podczas gdy nad lśniąca paradą stołu przystawały na chwilę w kolejności Biblii figury jej zodiaku: plagi egipskie i rozsypywały się w miał gwiazdny, mielone w żarnach tej nocy, która jest inna od wszystkich nocy roku.

Tak rosła ta obca i twarda noc wiosenna w swej głębi od plag i klęski i wśród rechotu jej gwiazd rozmnażały się żaby, węże i robactwo wszelkie w rośnych przestworach i roila się na całej przestrzeni od tajnego dziania się, a w sednie jej otwierała się ciemność labiryntami pokoi, czerwonych komór, malowanych szuflad, w których gwałtownie umierali pierworodni, a drzwi zatrzaśkiwały się za lamentem rodziców.

A gdy tydzień świąteczny mijał, wsuwano ten spiętrzony teatr Paschy z powrotem w indyferentną ścianę tygodni, która się wygładzała i ulice biegły znowu pusto i zapominano o wiosnie, której jeszcze wciąż nie było.

Aż pewnego dnia, przy końcu kwietnia, było przedpołudnie szare i ciepłe—ludzie szli, patrząc w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ciemnej ziemi przed sobą i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej, gałęzistej sieci drzew—szare, duszne niebo leżało ludziom na karku wichrowato—spiętrzone, bezformne, ciężkie i ogromne, jak pierzyna. Ludzie gramolili się pod niem jak chrabąszcze na rękach i nogach w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułemi różkami słodką glinę. Świat leżał

głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś wgórze, gdzieś ztyłu i w głębi, błogo bezsilny i płynął.

Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkował gęstą szarą siatką ćwierkania ptasiego, narzuconą na ten dzień szary i szedł w głąb w węzowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic i rósł tem wszystkim, bez miary.

A pod tym bezforemnym ogtomem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w rękach, wisieli zgarbieni na ławkach parków z płatkami gazety na kolanach, z której tekst spływał w wielką szarą bezmyślność dnia, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezwiednie. Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki, sypiące szary śrót, którym ćmiło się powietrze. Chodzili pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rzęsiściej lub zrezygnowani milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykłuło się słońce bladym kielkiem, wtedy nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i szary welon ćwierkania oddzielił się powoli blado-żółciastą siatką, z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle w jednej chwili pusta przed chwilą aleja parku jest zasiana ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była ona punktem węzowym wszystkich ulic miasta i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich zgrabnych dziewcząt śpieszą do pracy, do sklepów, inne na schadzki, ale przez chwil parę, podczas których przechodzą przez ażurowy kosz alei, dyszący wilgocią kwieciarni i nakrapiany trelami ptaków — należą do tej alei, do tej godziny, są, nie wiedząc o tem, statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jakgdyby zrodziły się z deptaku razem z delikatnymi cieniami gałązek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotem tle wilgotnego żwiru, biegną parę złotych, kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną, rozprószą się, przepadną, wsiąkną w piasek, jak te filigrany przeźroczych cieni, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków. Ale na tę jedną chwilę zaroiły aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny zapach alei. Ach, te przewiewne, świeże od mydła koszulki, prowadzone na spacer pod filigranowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokremi pod pachą, schnące we fiołkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i prywczce,

zdrowe wiosenne wypryski krwi gorącej. Ach, cały ten park jest teraz bezczelnie przyszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami przyszczy, które pękają ćwierkaniem. Potem aleja znowu pustoszeje, po sklepionym deptaku gędoli cicho drucianymi szprychami wózek dziecienny na smukłych resorach. W małym lakierowanym czółenku pogrążone w grządkę wysokich krochmalonych szlar z batystu śpi, jak w bukiecie kwiatów delikatne i różowe dziecko. Dziewczyna, prowadząca powoli wózek, nachyla się czasem nad niem, przeważa na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk rozkwitły białym muślinem i rozdmuchuje pieśczołliwie ten bukiet aż do słodkiego śpiącego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka ten przepływ obłoków i światła. Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący wirydarz światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca jak przez drucianą klatkę, świergot ptaszków z gałązki na gałązkę, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękanę wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę przedpołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.

BRUNO SCHULZ

## Z CIASNEGO PODWÓRKA

Zaczęło się to już dość dawno. Jeden artykuł zamącił błogą ciszę uspiomych obrońców tradycji. Posypały się repliki, nowe ataki, pewien czcigodny profesor ex cathedra wygłosił dowcipnie złośliwą odpowiedź na niemniej złośliwy artykuł, pewne koło studenckie uchwaliło rezolucję do ministerstwa i powoli, powoli wróciło wszystko do dawnego stanu. Jeszcze od czasu do czasu obijają się w codziennej prasie samotne głosy, dalekie echa strzałów po skończonej batalji. I znów zasypiamy.

Znów sprawa reformy studjów polonistycznych odwleka się „ad infinitum“. Bo niestety, przedmiotem tego sporu są właśnie studja polonistyczne na uniwersytecie, studja, które pośród wszystkich innych nauk humanistycznych winny stać u nas na możliwie najwyższym poziomie, muszą być aż przedmiotem dyskusji, która zresztą jak dotąd nie dała pozytywnego rezultatu. Zapal dyskutantów minął czyto z braku wérwy, czy też z braku tematu i wszystko zostało po staremu.

Nie będę tutaj poruszał argumentów obu wojujących stron. Nie uważam się za kompetentnego do rozsądzenia tego, czy np. znajomość historycznego rozwoju dyftongu „Oj“ jest niezbędna dla wykształcenia przeciętnego studenta, studjującego historję



literatury. Nie będę silił się na udowodnienie lub zaprzeczenie konieczności wyuczania się gramatyki cerkiewno-słowiańskiej i greckiej dla ogólnego wykształcenia polonisty. Nie! Chodzi mi tutaj o co innego. W nawale obustronnych oskarżeń pominięto pewną sprawę, która się fatalnie odbija na poziomie wykształcenia absolwentów polonistyki. Nie zwrócono uwagi na straszną schematyzację obecnych studjów polonistycznych i na konsekwencję tej metodycznej ciasnoty. Szkolarski, w najgorszym tego słowa znaczeniu, duch i stare, zatabaczone belferskie metody, przeniesione na uniwersytet niewiadomo skąd i jakimi drogami, panują wszechwładnie na sekcji. Każdy z nas zdaje sobie sprawę z konieczności metody, z ważnej roli pewnych wytycznych, według których należy postępować, ale i równie dobrze wiemy, czym mogą się stać te wytyczne dróżki przy ciągłym ich zacieśnianiu. To, co w założeniu swem ma być pomocą, staje się często kagańcem i kulą u nóg.

Do obowiązkowych egzaminów na polonistyce należy egzamin z jakiejś literatury obcej. Rzecz w zasadzie niezwykle pożyteczna, pozwalająca studentowi na porównanie naszej literatury z obcą i wyciągnięcie z tego porównania odpowiednich wniosków. Dzięki temu przymusowi egzaminacyjnemu każdy musi choć w zarysach poznać jakąś obcą literaturę, nie może tylko poprzestać na odmawianiu litanji naszych pisarzy, nabiera głębszego oddechu w swem literackim wykształceniu. Ale, jak i gdzieindziej, jest pewne ale. W teorii sprawa ta przedstawia się ładnie, inaczej jednak jest w praktyce. W praktyce ta znajomość obcych literatur ogranicza się do znajomości 3 a ściślej 2 literatur (mówię tu, jak zresztą w całym artykule o U. W). Dla przeciętnego studenta pozostaje do wyboru literatura klasyczna lub francuska (lit. niemiecka odpada ze względu na osobę egzaminującego). Tak więc w praktyce ten wiele obiecujący tytuł „literatury obce“ i ten wielki w nich wybór streszcza się do 2-ch pozycji tylko. Nota bene -- te 2 literatury, już w szkole średniej jako tako poznaje się; na podstawie wiadomości, zaczerpniętych na lekcjach francuskiego czy łaciny lub greki, żaden abiturjent, w maturalnej nawet gorączce, nie pomyli Moljera z Arystofanesem lub Plautem. Zdajemy sobie sprawę z wielkiej roli, jaką odgrywa w naszej kulturze piśmiennictwo klasyczne czy francuskie, ale co mają robić ci, którzy uważają, że są i inne literatury równie ciekawe jak i te dwie?

Przy tem ogólnem zacieśnieniu granic najgorzej przedstawia się sprawa sławistyki. Jak kiedyś, tak i w niedalekiej przyszłości wytworzy się taki stan rzeczy, że o literaturach słowiańskich więcej będą wiedzieć tacy np. Francuzi, niż my sami,

Słowianie. Jak do tej pory wszystko się robi dla zrealizowania tego celu. Dużą „zasługę“ mają tutaj i „czynniki miarodajne“, układające program egzaminów i studjów, ale i sami studjujący polonistykę nie są też bez winy. Tutaj daje się odczuć wpływ egzaminów magisterskich na przebieg i zakres studjów. O ile w pierwszym roku studjów młody student z reguły biegnie na wszelkie potrzebne i niepotrzebne mu wykłady, od stenografji zaczawszy a na dykcji skończywszy, o tyle na starszych już latach, nabrawszy już doświadczenia, chodzi tylko na takie wykłady, których tematem jest materiał do egzaminu. Czemże wytłumaczyć nabite po brzegi audytorja na wykładach z fonyki historycznej? Przecież nie ogólnem zainteresowaniem tym nieciekawym dla większości przedmiotem, bo na sekcji językoznawczej jest zaledwie kilkunastu ludzi, podczas gdy resztę stanowią studjujący historję literatury. Przyczyną tej frekwencji, jest trudny naogół egzamin z gramatyki historycznej, do którego przygotowaniem są owe wykłady. Krótkowzroczny utylitaryzm pcha większość na wykłady dla niej nieciekawe, a odciąga od wykładów o literaturach obcych. A już najgorzej przedstawia się frekwencja na wykładach z lit. słowiańskich, które nie mają dla ogółu wartości, jako nie będące materiałem egzaminacyjnym. Tak wielka literatura, jaką jest lit. rosyjska, jest nieszczęsnym kopciuszkim. Co wie o niej przeciętny polonista? Nic, albo niewiele więcej niż nic. Znajomość ta ogranicza się do modnej od niedawnego czasu literatury sowieckiej, cały zaś olbrzymi dorobek XIX-go wieku reprezentują dla większości tłumaczenia z Dostojewskiego lub Tołstoja. Wyczuwa się ogromną obojętność dla lit. rosyjskiej, tem dziwniejszą, że teraz już niczem nieusprawiedliwioną. Dzisiaj, gdy zerwane są węzły, łączące nas z carską Rosją, gdy naszemu samoistnemu bytowaniu kulturalnemu nie zagraża już moskiewski zalew, obowiązkiem naszym jest poznanie skarbów tej wielkiej literatury. Ta wspaniała i tak różnorodna literatura, tak nam bliska z XVIII w. i tyloma węzłami związana z naszą, nie może nadal pozostawać w cieniu innych literatur. Wstyd, ogromny wstyd ogarnia człowieka, gdy porówna naszą znajomość lit. rosyjskiej z tem, co wiedzą o niej na Zachodzie. Już nie mówię tutaj o Słowianach Czechach, którzy stokroć lepiej ją znają i cenią niż my, ale co możemy przeciwstawić pracom Niemców, Francuzów czy Anglików, którzy w tej dziedzinie stworzyli pomnikowe dzieła, o jakich nam narazie marzyć nawet trudno. Dawniej nic się u nas nie robiło w tym kierunku ze względów politycznych, narodowych, dziś też nic się prawie nie robi, ale już nie wiadomo z jakich względów. Dawniej zbywano tę całą sprawę ga-

daniem o szkodliwym nihilizmie rosyjskim, o deprawacji duszy młodzieży, płynącej z lektury rosyjskiej, dziś załatwiono ten problem w ten sposób, że go całkowicie pominięto. Na palcach jednej ręki możnaby wyliczyć ludzi, pracujących nad ros. literaturą. Od czasów Mickiewicza, który zamierzał wydawać czasopismo polsko-ruskie celem wzajemnego drukowego zbliżenia, niewiele się zmieniło. Czasopismo to nie ukazało się, nie ukazały się też w ciągu następnych lat żadne poważniejsze prace z tej dziedziny. Spasowicz, próbujący nawiązać kiedyś kontakt między obydwojma kulturami, spotkał się z obojętnością społeczeństwa, które, obawiając się wpływu rosyjskiego ducha, wrogo prawie przyjęło jego plany. Z uczonych naszych, poza pracą J. Tretiaka o lit. małopruskiej, nikt nie zainteresował się poważniej i szerzej dorobkiem rosyjskiego ducha. Dopiero „Historja lit. rosyjskiej“ niezastąpionego prof. Brücknera w pewnej mierze zapełniła tę olbrzymią lukę, jaka istnieje w naszej kulturze. Uniwersalny Brückner ratuje sytuację swą pracą, ale w dalszym ciągu jest w tej dziedzinie prawie samotny. Poza pracami kilku uczonych i literatów nie widać objawów zainteresowania rossikami, a już całkiem źle przedstawia się ta sprawa wśród studjującej młodzieży. Wymowną ilustracją tych zainteresowań jest frekwencja na wykładach z lit. rosyjskiej. Bywa na nich 2 do 5 osób. Tych parę osób interesuje się lit. rosyjską na blisko 700 osób, studjujących obecnie polonistykę! Na wykładach z lit. ukraińskiej jest nie lepiej, wykłady z lit. czeskiej i słowackiej często nie odbywają się z braku słuchaczy. Innych wykładów z lit. słowiańskich niema, ale nawet gdyby i były, nie miałyby zapewne słuchaczy.

Tak się przedstawia nasze zainteresowanie sławistyką. Drepcemy w ciasnym podwórku, otoczeni murem starych, zapleśniałych zasad.

LUDWIK MAJ

## Z KSIĄŻEK NAJNOWSZYCH

LEON KRUCZKOWSKI „PAWIE PIÓRA“ — powieść — Warszawa Gebethner i Wolff — 1935 r.

Wartość artystyczna wydanego przed 2-ma laty „Kordjana i Chama“ kazała spodziewać się, że autor da literaturze polskiej jeszcze niejedno dzieło dużej wartości. Nadzieje te sprawdziły się w całej pełni.

Oto Leon Kruczkowski wydał w ostatnich dniach nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa nową powieść, zatytułowaną „Pawie Pióra“.

Jest to, jak i poprzednie dzieło Kruczkowskiego powieść rewizjonistyczna, chociaż rewizjonizm ten jest mniej odkrywczy a zarazem mniej ostry. Akcja „Pawich piór“ rozgrywa się w latach, poprzedzających wybuch wojny światowej, a kończy się sceną mobilizacji w Galicji, po mordzie w Serajewie. Wreszcie ostatni akord—to wymarsz strzelców w pamiętnym roku 1914 na bój o wolną Polskę.

Akcja książki toczy się i obraca dokoła jednej centralnej osi, a jest nią wieś, wieś galicyjska, ciemna, głodna i zabiedzona. Wieś ta—to morze krzywdy, wyzysku, biernego, prawie zwierzęcego w swej bierności cierpienia setek drobnych, małorolnych włościan, komorników, i najmitów, a wewnątrz niej, świat inny, złożony z wójta, proboszcza, pisarza gminnego, właściciela wielkiego majątku oraz bogatego chłopca Karelusa. Zwłaszcza ten ostatni udał się autorowi do podziwu. Postać zamożnego, sprytnego, skąpego, i obłudnie religijnego kmiecia Karelusa zostanie już nazawsze w literaturze naszej, tak, jak został Boryna, Ślimak, Wokulski, czy Judym! Chociaż charakter tej sylwety jest innego rodzaju.

Czytając „Pawie pióra“, ma się stale na myśli „Chłopów“ Reymonta, dzieło będące zaprzeczeniem powieści Kruczkowskiego, gdyż u Reymonta prawdziwe oblicze wsi zakrywa barwny, tęczą blasków rozmigotany las „piór pawich“, piór, z których fałszywym urokiem postanowił ostatecznie rozprawić się L. Kruczkowski, by wydobyć na światło dzienne okropną, wstrząsającą prawdę o chłopie polskim z przed dwudziestu laty.

Temat, jaki rozwinął w „Pawich piórach“ Kruczkowski, nastroczał wiele niebezpieczeństw. Przedewszystkiem ogromnie łatwo było wpaść w płytką, odstraszącą demagogję. Cóż bowiem łatwiejszego, jak odmalować obraz głodującego chłopca na tle sytego dostatniego dworu! Kruczkowski jednak, pragnąc nie odstąpić ani na krok od obiektywizmu, kreśli też pośród całego szeregu swych żywych postaci i ziemianina, którego duszę ukazuje nam w kilku zwartych obrazach i pysznych dialogach, ale jednocześnie sięga dalej i przyczynę zła widzi w samej gromadzie wiejskiej, niezorganizowanej, ciemnej, mało solidarnej, biernej i oziępszej, a deptanej przedewszystkiem przez bogatego chłopca Karelusa. Przepaść między nim a biedotą jest większą i głębszą, niż między wsią, a dworem! I to jest jedna z najcenniejszych prawd, jaką spotykamy w pięknej książce Kruczkowskiego! Prawda to jednak bolesna.

Autor zna doskonale wszystkie bolączki wsi, od głodu i poniżenia do tragicznej wędrówki na Saksy za chlebem i dlatego w „Pawich piórach“ mamy tyle scen świetnych i niez-

pomnianych (tragedja Helki — dojarki, nocna wyprawa do sadu zamożnego Bożka, walka gromady z żandarmami o pastwisko, los Madejowej, miłość biednej Tereski, i rozmowy dwu inteligentów w wagonie o ludzie, który „potęgą jest i basta“, oraz ćwiczenia strzeleckie. Wreszcie wymarsz Strzelców w roku 1914 na bój o Polskę.

Styl oszczędny, zwarty ale pełen piękności, a znajomość duszy chłopskiej pierwszorzędna, odbiegająca w „Pawich piórach“ od wszelkiego szablonu. W rezultacie należy stwierdzić, że ostatnia książka Kruczkowskiego zapisze się trwale w dziejach piśmiennictwa polskiego, gdyż wartości jej tak artystyczne jak i społeczne są nieprzemijające.

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

## N O T Y

ZBRODNIA EWY ORSKIEJ Pod tym tytułem wydał Józef Nikodem Kłowski, prozaik młodszego pokolenia literatów lubelskich, tom nowel pacyfistycznych, ilustrujących ohydę wojny i jej destrukcyjny wpływ na psychikę człowieka. Wśród sześciu nowel, odznaczających się szlachetną tendencją, lecz nierównych pod względem artystycznym, do najudatniejszych należą „Wzgórze Męki Pańskiej“ i „Ślepiec“. Szkoda, że autor, licząc się widocznie z atrakcyjną siłą pierwiastku sensacyjnego, poniechał pierwotnie zamierzonego tytułu „Głodna ziemia“.

NAKLADEM TOWARZYSTWA PRZYJACIOŁ NAUK w Lublinie ukazał się tom II „Pamiętnika Lubelskiego“ za lata 1931—34, obejmujący artykuły, poezje, nowele, materiały, notatki, wspomnienia i kronikę — bądź pióra autorów lubelskich, bądź związane z Lubelszczyzną. Zamieścili tu swoje prace A. Madej, A. Szczerbowski, J. Krzyżanowski, H. Życzynski, T. Sokołowski, S. Komar, S. K. Papierkowski, W. Kasperski, K. A. Jaworski, W. Krzyżanowski, A. Kossowski, T. Sokołowski, J. Riabinin, L. Kamykowski, K. Piwocki, J. Kot, J. Kamiński, S. Dąbrowski, W. Gacki, L. Białkowski, ks. L. Zalewski, L. Ziółkowski, i J. S. Majewski. Tom zgrą 300-stronicowy uzupełniają liczne ilustracje.

OKOLICA POETÓW. Ukazały się dwa numery nowego miesięcznika poetyckiego, wychodzącego pod powyższym tytułem w Ostrzeszowie. Redaktorem pisma jest ceniony krytyk i poeta Stanisław Czernik. Na treść dwóch pierwszych zeszytów składają się interesujące artykuły redaktora o lirycie (zwłaszcza b. ciekawy w № 1 „Styl w lirycie“), recenzje, noty, i wiersze — ostatnie znanych dobrze z innych czasopism poetów. Szkoda, że Czernik nie postarał się pod tym względem o większą różnorodność, wyszukując przedewszystkiem mniej znane talenty z Wielkopolski. Mimo pewnych braków, nieuniknionych zresztą zawsze w początkowych numerach nowego pisma, „Okolica poetów“ zapowiada się jako miesięcznik wartościowy, mogący spełniać z pożytkiem swoją rolę. Należy więc tylko życzyć Redakcji powodzenia w dalszej pracy i mniejszej pobłażliwości w stosunku do... „motylaszków“ i „tatawiaszków“ debutantów.

BIULETYM POLSKO-UKRAIŃSKI, naogół niewiele uwagi poświęcający współczesnej poezji ukraińskiej, zamieścił w № 23 (109) wiersze P. Tyczyny, B. Antonycja, J. Kosacza i A. Skiby w przekładzie A. Baumgardtana i Z. Kunstmana.

TADEUSZ HOLLENDER, obok wspomnianych wyżej oraz J. Czechowicza i K. A. Jaworskiego — jeden z nielicznych tłumaczy współczesnej poezji ukraińskiej przygotowuje do druku antologję własnych przekładów.

LWOWSKI TYGODNIK „NOWE CZASY“ sporo miejsca poświęca literaturze i sztuce. Dział ten jest prowadzony żywo i z dużą kulturą. Spotykamy tu nazwiska Hollendra, Kuryluka, Promińskiego, Rogowskiego i innych b. „sygnalistów“.

POECI LUBELSCY wykazali w ostatnich miesiącach wzmożoną działalność wydawniczą. Madej ogłosił nowy zbiorek poezji p. t. „Linje i granice”, chlubnie świadczący o dalszych osiągnięciach tego pięknie rozwijającego się talentu, Łobodowski wydał jako drugi i trzeci tom poetyckiej Biblioteki Dźwigarów zbiór wierszy oryginalnych — „Rozmowę z ojczyzną”, jedną z najwybitniejszych pozycji w dziedzinie tegorocznej poezji polskiej, oraz przekłady z Lermontowa, Błoka, Jesienina i Majakowskiego pod znamienym tytułem „U przyjaciół”. Książki te omówimy szczegółowo.

MEDICE CURA TE IPSUM Łobodowski zarzucił w styczniowych „Dźwigarach”, że poeci, tłumaczący z rosyjskiego, „pracują nieco jednostronnie”, przekładając wciąż tę samą grupę poetów („Błok, Jesienin, Majakowski, a ze starszych... Lermontow”); Tymczasem cały szereg wybitnych poetów „to terra incognita dla polskiego czytelnika, — a zato niektóre wiersze Jesienina czy Błoka są przekładane po trzy i cztery razy!” Niestety, sam w książce „U przyjaciół” nietylko że tłumaczy w dalszym ciągu tych samych poetów, ale między innymi nawet celowo po raz drugi i trzeci utwory już przełożone: fragment „Obłoku w spodniach” (tłumaczyli Tuwim i Stern), „Pieśń o kupcu Kałasznikowie” (tłum. Słobodnik), „Spowiedź chuligana” (tłum. Jasiński i Jaworski), „Gołubień” (tłum. Morski i Jaworski), „Pantokrator” (tłum. Broniewski), „Ogród słowicy” (tłum. Jaworski) i inn. Rozumiemy szlachetną ambicję w zamiarze prześcignięcia innych tłumaczy, ale gdzież logika i konsekwencja?

AUTORYSY — to tytuł jednodniówki Koła Literackiego im. S. Żeromskiego przy Państwowym Seminarjum Nauczycielskim Męskim w Chełmie, wydanej w 10-ą rocznicę istnienia tej organizacji. Na treść wydawnictwa złożyły się rzeczy byłych oraz obecnych jej członków, którzy pracują na polu literatury. Rys historyczny p. t. „Skrót 10 lat” napisał W. Matyszczuk. Prócz tego utwory swe umieścili: J. Szczawiej, W. Kasperski, A. Szumski, W. Mrozowski, Z. Popowski, W. Iwaniuk, C. Morawski, S. Turczyn i I. Gąsior. Książeczkę uzupełniają recenzje ze zbiorów J. Szczawieja, W. Kasperskiego, W. Mrozowskiego i Z. Popowskiego. — kaj —

## OD REDAKCJI I WYDAWNICTWA

Z numerem niniejszym (20-ym) zamykamy drugi rocznik „Kamenu”. I znów, jak dwanaście miesięcy temu, obejrzymy się za siebie, by objąć wzrokiem całokształt naszej pracy za rok ubiegły, obliczyć aktywa i pasywa i wysnuć z nich wytyczne dalszego postępowania. Naogół kontynuowaliśmy robotę, zapoczątkowaną przed dwoma laty w myśl programu, naszkicowanego w czerwcowym numerze 1934 r., pod pewnymi względami zwiężając, pod innymi rozszerzając ramy zakreślonej działalności. Ideowo, nie angażując się do żadnej grupy politycznej, staliśmy w dalszym ciągu na gruncie szczerzej sympatji dla wyzwolenczego ruchu proletariatu oraz porozumienia się i zbliżenia kulturalnego narodu słowiańskich. Stąd chętnie zamieszczaliśmy na łamach naszego pisma utwory pisarzy społecznych i zaznaczaliśmy wyraźną abstynencję w stosunku do autorów polskich i obcych o nastawieniu faszystowskim. Stąd też znaczna liczba przekładów z literatury słowiańskiej oraz współpraca Słowaków w specjalnym numerze tatrzańskim „Kamenu”. W roku bieżącym zamieściliśmy tłumaczenia z poezji serbskiej, chorwackiej, rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, czeskiej, słowackiej i serbo-łużyckiej, a więc z wyjątkiem Słowenów — wszystkich narodów słowiańskich. Zgodnie z zapowiedzią zesłoroczną zajęliśmy się również poezją mniej licznych narodów (Duńczycy, narodowy epos Finnów i Estów) oraz naszych najbliższych sąsiadów — Niemców i Rumunów. Prócz tego z literatury zachodnio-europejskiej uwzględniliśmy szerzej poezję francuską, włoską i angielską. Mimo najszezerzej chęci nie udało nam się w tym roku zamieścić kolumny litewskiej, łotewskiej i słoweńskiej. Lukę tę postaramy się uzupełnić w roku przyszłym, jak również rozszerzyć zasięg nowych przekładów, wciągając w miarę możliwości w ich orbitę poezję narodów iberyjskich, skandynawskich i in. Tyle co do pracy przekładowej.

Jeśli chodzi o wiersze rodzime, uważny czytelnik „Kamień” dostrzegł, że w ostatnim roku liczba współpracowników pisma powiększyła się znacznie: są to zarówno poeci awangardowi, jak i passeiści. Przez umieszczanie utworów jednych i drugich staraliśmy się bardziej ożywić charakter pisma, uznając przede wszystkim każdy wartościowy talent bez względu na to, w jakim się obozie poetyckim znajduje. Artykuły nasze, jak i w roku ubiegłym, zmierzały do wyświetlenia pewnych zagadnień, związanych bezpośrednio z warszawą pracy poetyckiej. Inne miały na celu orjentowanie czytelnika w twórczości niektórych polskich i obcych pisarzy. Stosownie do zapowiedzi staraliśmy się w roku bieżącym uczynić „Kamień” bardziej pismem literackim, poświęcając więcej, niż poprzednio, miejsca prozie — stąd nowele, fragmenty z powieści i dramatu. Mimo to jednak przewaga pierwiastku ściśle poetyckiego jest nadal widoczna i postaramy się ją utrzymać.

W bieżącym roku usunęliśmy zupełnie rubrykę Pro urbe sua. Przewidywaliśmy już tę możliwość przed dwunastu miesiącami. Nauczeni przykrem doświadczeniem, przyszliśmy, niestety, do wniosku, że wobec zmniejszenia ilości czytelników „Kamień” w jej mieście rodzinnem, utrzymanie tego działu jest rzeczą zgoła zbyteczną. Utwierdziła nas w tem zwłaszcza złośliwa recenzja o naszym piśmie, zamieszczona w miejscowym „organie”, wydawanym przez chełmski Związek Przyjaciół Kultury, jedyna zresztą par excellence ujemna ocena, jakiej doczekaliśmy się w ciągu dwuletniej działalności, — przy najbardziej życzliwym ustosunkowaniu się do naszych poczynań szeregu poważnych pism w stolicy i na prowincji („Droga”, „Wiedza i Życie”, „Nowe Czasy”, „Polska Zbrojna”, „Rocznik Literacki”, „Akcja Literacka”, „7et”, „Życie Sztuki”, „Miecz”, „Pamiętnik Lubelski”, „Miesięcznik Literatury i Sztuki” i t. d.). Nie należałoby jednak stąd pochopnie wysnuwać wniosku o bezwzględnej słuszności przysłowia: nemo propheta i t. d., bo oto Lubelski Związek Pracy Kulturalnej za pośrednictwem Związku Literatów w Lublinie udzielił nam w pewnej mierze finansowego poparcia, umożliwiając w ten sposób utrzymanie zachwianej placówki w dalszym ciągu w postaci miesięcznika. Na tem miejscu lojalnie to podkreślamy, dziękując za uznanie i pomoc w pracy.

Gdyśmy rozpoczęli nasze wydawnictwo we wrześniu 1933 r., „Kamień” była jedynym pismem poetyckim w Polsce i ten charakter utrzymywała prawie przez cały rok swego istnienia. Dziś powstało kilka nowych pism poetyckich: „Dźwigary”, wznowiony „Skamander”, „Akcja Literacka” i ostatnio „Okolica Poetów”. Jeśli mimo to postanowiliśmy „Kamień” w dalszym ciągu utrzymać, to dlatego, iż wierzymy, że istnieje jej ma swoją rację bytu, a to zarówno z punktu widzenia regionalnego (zasięg na środkowe i wschodnie połacie Rzplitej), jak i ze względu na jej życiowy program i taniść, okupioną zresztą z przyczyn od nas niezależnych skromną szatą graficzną (50 gr. egzemplarz objętości 1 — 1 i pół arkusza, w tem połowa stronice petitem, z wkładką linorytową o tematach przeważnie regionalnych). Ale pragniemy nie tylko „Kamień” utrzymać, ale i pismo rozszerzyć, a to będzie możliwe tylko przez powiększenie liczby jej prenumeratów do trzystu. Liczba ta pozwoliłaby miesięcznikowi rozwijać się bez żadnej absolutnie pomocy z zewnątrz. Apelujemy więc do wszystkich naszych czytelników i sympatyków, by jednali nam abonentów. Niech szczerem niewątpliwie, ale platonicznym, wyrazem uznania dla naszej pracy towarzyszy poparcie pisma przez zapisanie się na listę jego stałych prenumeratorów. 4 zł. rocznie nie obciąża budżetu żadnego inteligenta, a umożliwi dalszy rozwój „Kamień”.

*Wszystkim pisarzom, których utwory były drukowane w „Kamieniu”, składamy na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie za ich bezinteresowną współpracę.*

Sposobiąc się do pisania „Esetyki języka polskiego“ i pragnąc oprzeć pracę o ciepły materiał psychologiczny proszą uprzejmie Kolegów — Poetów, którzy mowie polskiej i swemu do niej stosunkowi poświęcili utwory lub fragmenty literackie, o łaskawe nadesłanie mi ich /odpisów albo o wskazanie, gdzie były drukowane. Wobec rozsiania tytułu pięknych osiągnięć po pismach literackich, po niedostępnych książkach i jeszcze niedostępniejszych rękopisach muszę o życzliwą pomoc prosić Szanownych Autorów.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

(Kraków, Osiedle Urzędnicze, ul. Brodowicza 2, za rzeką)

---

W dniu 2 kwietnia b. r. minął rok od śmierci ś. p. Adama Skwarczyńskiego. Wydawnictwo „Droga“, w celu uczczenia tej rocznicy, wydało książkę młodego poety i krytyka, Marjana Piechala, p.t. „Anioł i Jakób“ — trzy dialogi o Adamie Skwarczyńskim. Autor, nie schodząc ani na chwilę z artystycznego poziomu formy, którą sobie wybrał — analizuje całą konstrukcję życia polskiego, ukazaną w ideologii Skwarczyńskiego, z punktu widzenia młodego pokolenia polskiego, które sprawę narodu i państwa usiłuje powiązać i rozstrzygnąć w sobie łącznie ze współczesnymi problemami społecznymi. Pierwszy dialog mówi o wierze i o czynie, drugi — o demagogji, — trzeci o mitach. Książka (cena zł. 2.50) nadaje się przede wszystkim do bibliotek wszystkich tych organizacji, które Adama Skwarczyńskiego mają za patrona.

Równocześnie z książką Piechala w „Drodze“ ukazały się dwa następne tomy „Biblioteki Dramatycznej“, stanowiącej kolekcję arcydzieł współczesnego teatru. Tom 9-ty zawiera trzy jednoaktówki świetnego dramaturga anglo-irlandzkiego, Lorda Dunsany, w przekładzie Zofji Siwickiej: „Noc w oberży“, „Błyszcząca brama“ i „Gdyby Szekspir żył dzisiaj...“. Utwory Lorda Dunsany odznaczają się niezmiernie żywym i pięknym dialogiem, oraz niesamowitością sytuacyjną i psychologiczną. Tom 10-ty poświęcony został „Historji o żołnierzu“ najwybitniejszego dziś we Francji pisarza regionalnego, C. F. Ramuza, w pełnym poetyckiego polotu przekładzie Juliana Tuwima. „Historja o żołnierzu“ stanowi libretto do muzyki Igora Strawieńskiego. Oryginalność tej muzyki doskonale zespala się z fantastyczno-balladowym tonem sztuki Ramuza i daje w sumie widowisko, godne teatru eksperymentalnego najwyższej próby. (Cena każdego z tych tomów „Biblioteki Dramatycznej“ 2 zł.

(Nadesłane)



P. J. A. Rym. Dziękujemy. Przedruków nie zamieszczamy. Książkę omówimy jesienią.

P. J. Pietr. w Warszawie. Dziękujemy. Skorzystamy.

P. J. Żyt. w Warszawie. „Bez w samolocie“ omówiliśmy w № 8 „Kamień“ w r. ubiegłym. Dziękujemy.

E R R A T A

Na str. 189 nazwisko autora wiersza „Zapatrzenie“ brzmi Mell (a nie Meil), zamiast „Ż olbrzymem...“ powinno być „Z olbrzymem“, zamiast wszystkie (trzeci wiersz oddołu) — wszystkie, na str. 198, wiersz 12-y oddołu zamiast „Biuletym“ — powinno być „Biuletyn“. Na str. 199 wiersz 3-ci oddołu zam. „zasiąg“ powinno być „zasięg“.

PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE

Akcja Literacka № 4. Biuletyn Polsko—Ukraiński № 99—110. Dazboh № 1—7. Dekada № 22—31. Front Polski Zbudzonej № 47—55. Gazeta Młodych № 5—6. Lewar—№ 5—6. Marchońt № 3. Miecz № 45—56. Miesięcznik Literatury i Sztuki № 8—9. Nazustricz Nr. 7—11. Nowe Czasy Nr. 11—21. Okolica Poetów Nr. 1—2. Pamiętnik Lubelski t. II (1931—34) Państwo Pracy № 9. Płoń № 9. Pion № 13—23. Polska Odrodzona № 8—11. Polonista zesz. I—II r. 1935. Praca Oświatowa № 2—5. Polska Ludowa № 13—20. Siła № 2—3. Sztegn № 1. Taternik № 1—5. Ugory № 2. Wici Wielkopolskie № 4 (43). Wolność Sumienia Nr. 3—4. Zet Nr. 1—5. Życie Akademickie Nr. 6—7.

Jadwiga Korczakowska: Krzyk dziecka, „Bluszcz“ 1935. Józef Nikodem Kłosowski: Zbrodnia Ewy Orskiej, Pomor. S-ka Wyd. Grudziądz 1935. Edward Cygan: Nad trzema wodami Okr. Zw. Mł. Lud. Jasło 1933. Maurycy Szymel: Powrót do domu, Warszawa 1931. Maurycy Szymel: Skrzypce przedmieścia, Hoesick, W-wa. Maurycy Szymel: Wieczór liryczny, W-wa 1931. Witalis Rajmund Zieliński: Bojowy śpiew, B-ka Pis. Warszawa 1935. Antoni Olcha: Przed świtem, B-ka Nowej Wsi, Naprawa 1935. Mieczysław Jastrun: Dzieje nieostygłe, Sfinks Warszawa 1935. Jerzy Pietrkiewicz: Wiersze o dzieciństwie, Warszawa 1935. Halina Brodowska: Madonna z Portofino, B-ka Promu, Poznań, 1935. Stanisław Jerzy Lec: Zoo (wiersze satyryczne) Warszawa, Sfinks 1935. Marjan Piechal: Anioł i Jakób, Warszawa, Droga 1935. Lord Dunsany: Noc w oberży, Warszawa, Droga 1935. C. F. Ramuz: Historia o żołnierzu, Warszawa, Droga 1935. Autorysy—jednodniówka Koła Liter im. S. Żeromskiego przy Sem. Naucz. Męsk. w Chełmie. Eugenjusz Żytomirski: Do przyjaciela, Warszawa, Hoesick 1935.